

23

# ROK 1863.

Wspomnienia osobiste  
Józefa Okoniewskiego.

— © —  
Z zapisków ojca

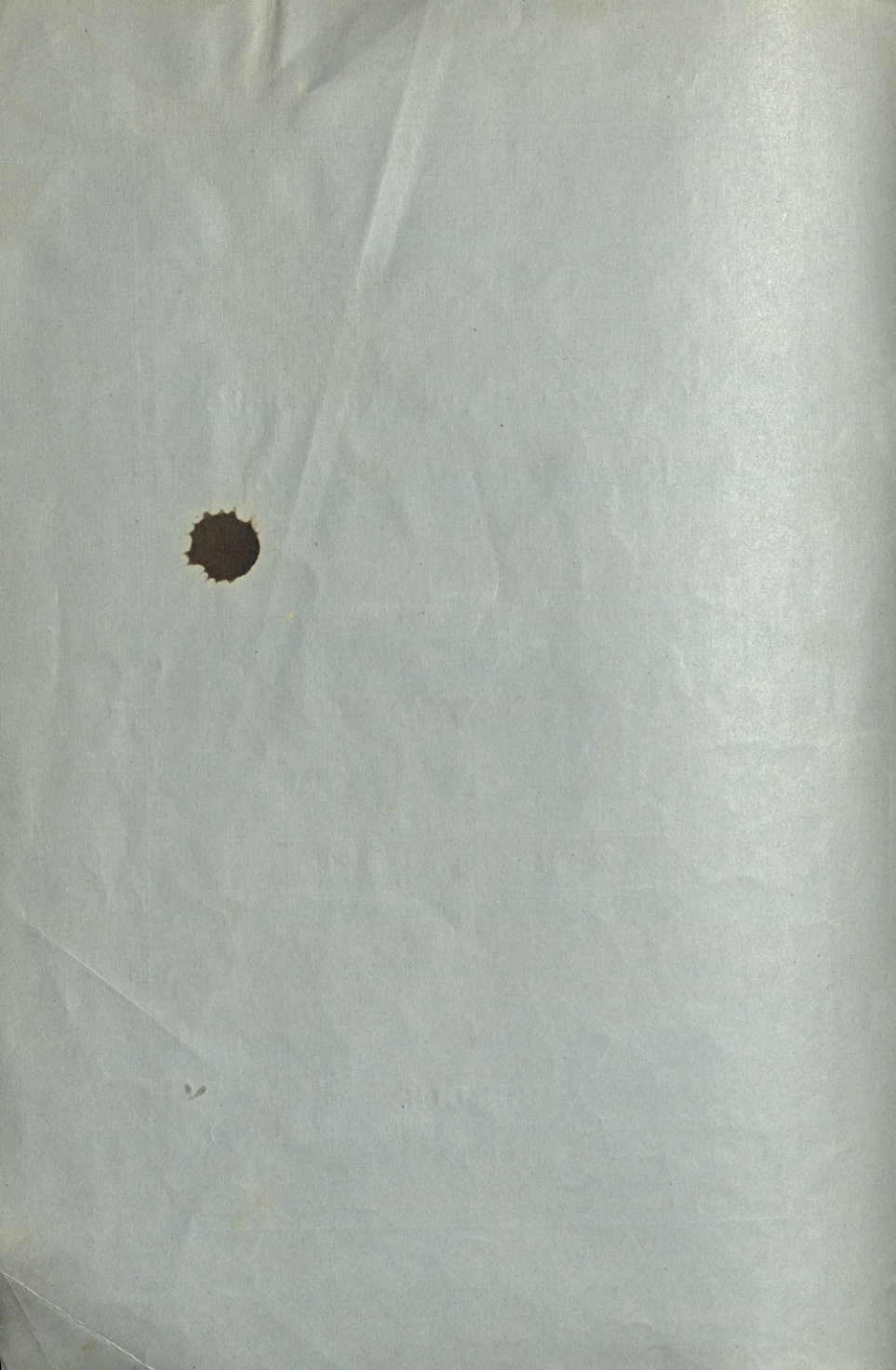
opracowała

MARYA.

Nakładem autorki.

BERLIN.

Z drukarni „Dziennika Berlińskiego“ (Karol Rose).  
1903.





# Rok 1863.

Wspomnienia osobiste  
Józefa Okoniewskiego.



Z zapisków ojca

opracowała

M A R Y A.

---

---

Nakładem autorki.

---

---

BERLIN.

Z drukarni „Dziennika Berlińskiego“ (Karol Rose).

1903.





224682

3119, a 1960





Czterdzieści lat minęło, kiedy synowie całej Polski opuścili domowe ogniska, poświęcając wszystko, co mieli drogiego, by z zapałem w sercu, odwagą w duszy i nadzieją lepszej przyszłości rzucić się w wir walki w nadziei, że zdobędą dla kraju niepodległość! Ogólny zapał udzielił się i mnie także, ale niestety, z chwil tych szczupłe tylko pozostały szczegóły w pamięci, bo dzienniczek mój spalono wraz ze skrwawionym mundurem po bitwie pod Kruszną, gdy ranny musiałem pozostać w opiece obywateli. Obawa przed skompromitowaniem sprawiła, że nie wspomniano mi nawet o zniszczeniu zapisków, na które spuszczając się, nie starałem zapamiętać dat i miejscowości mniejszych potyczek. Zresztą, będąc w obozie zawsze jako żołnierz, tylko osobiste podaję wrażenia, nie chcąc uleźć zwykłym błędom tych żołnierzy, którzy opisując nietylko własne czyny ale i zasłyszane, często nie chcący z prawdą się minęli.

Roku 1858 wstąpiłem do wojska pruskiego — czwartego pułku ułanów, a karyera wojskowa spodobała mi się tak bardzo, że chciałem służyć na awans. W czasie 4-ro letniej służby przejechałem niemal całe Niemcy, będąc także na kursie wyższej jazdy konnej w Schwedt. Ztamąd wywołał mnie wkrótce brat dr. Stanisław praktykujący naówczas w Żninie, a powód określił lakonicznie: „będziesz



potrzebny“. Domyśliłem się reszty i bez wahania wystąpiłem z wojska, poświęcając się agronomii. Na praktyce w Królestwie zastało mnie powstanie, przygotowanego na wszystko po wojskowemu, na pięknym karoszu, ujeżdżonym z największą starannością podług przepisów szkoły wojskowej.

Czynny udział w powstaniu wziąłem już w lutym, kiedy to uzbrojeni w kilka fuzyi i kos, w rękach ludzi nie mających pojęcia nawet o nabiciu fuzyi, przyjęliśmy pierwszą niefortunną potyczkę pod Cieplinami, dnia 27 lutego. Zraziło mnie to bardzo! Żołnierz z krwi i kości, poznałem niemożliwość powstania i powróciłem do gospodarstwa. Lecz nie zaznałem już spokoju — dusza rwała się do boju — zapał palił mnie żądzą niepohamowaną, zwłaszcza, że dochodziły mnie co chwila listy matki, zamieszkałej w Księstwie, w których nalegała o bezwzględny udział w powstaniu! „Synu!“ pisała „tyś w domu jeszcze? Nie tam dziś miejsce dla ciebie! Spiesz na plac boju, nieś życie w ofierze, gdy ojezyczna woła! to dziś święty twój obowiązek. Czterech was wychowałam w tej błogiej nadziei, że jej obrońcami będziecie!“ To słowa najlepszej matki — wówczas 60-cio letniej matrony i — stało się jak chciała.

Pewnego wieczoru około godziny 6-tej oddział z pod Cieplin, trochę połatany, stanął w pobliskim zagaju, a dowódcy przybyli po żywność, z którą też niebawem wyruszyliśmy. Ale jakież bolesny widok przedstawił się oczom moim! Ta garstka ludzi obozowała bez straży, bez najmniejszych środków ostrożności, bo nawet bez widety. Z żalem robiłem wymówki sztabowi, że nie tylko narażają ludzi na wielkie niebezpieczeństwo, ale i pozbawiają zaufania do siebie, bo jakżeż żołnierz może wykonywać ślepo rozkazy dowódcy, gdy na nim polegać nie może? Uznano słuszność uwag moich i zgodzono się chętnie na propozycje stawiane przezemnie. Podjąłem się zrekonoskować okolicę i wziąłem się zaraz do dzieła, choć koń mój nie był osiodłany; na tak krótką przetrzeń do lasu niechciałem brać siodła, które zawsze



zresztą było w bojowym szyku. Przegląd trwał mniejwięcej do 4-tej rana, poczem wróciłem do obozu wskazując drogę wolną od nieprzyjaciela. Kilka dni jeszcze trwały te nocne wycieczki moje, a wkrótce odebrałem rozkaz od Rządu Narodowego do stawienia się w obozie w Orli pod Izbicą na Kujawach. Młody, silny, żądny boju, wyćwiczony w broni palnej i białej, na karoszu moim — w dniu 11 marca wieczorem po skończonej pracy, a przed przybyciem stróża nocnego, wyruszyłem na wskazane miejsce.

Nad ranem dobiłem do kwatery dowódców; niejakiś Waryłkiewicz (chory wówczas na żółtaczkę a później stracony przez Rosyan) i Wisła (pseudonim) wskazali mi, że mam udać się do p. Grabowskiego, mileczkę dalej, gdzie też z brzaskiem stanąłem. Lecz pusto było tutaj — zsiadam więc z konia a uwiązawszy go pod szopą na środku podwórza, dałem owsa i czekam. W porze śniadania zaludniło się podwórze jakimiś chłopczkami, raz poraz ktoś konno zajechał, zajrzał i odjechał. Patrząc na to wszystko w milczeniu — wtem jeden z przybyłych kieruje konia także pod szopę, pozdrowiliśmy się krótkim „dzień dobry“, on konia wiąże jak ja u słupa i źreć mu daje, a sam siada obok mnie. Po wzięciu pałasza i ruchach poznałem doświadczonego żołnierza i zrobiłem tę uwagę głośno. On ją potwierdził i przedstawił się jako Józef Różnieski, huzar austriacki czyli węgierski, ja także wymieniłem nazwisko dodając, że jestem ułanem pruskim. Z dalszego toku rozmowy dowiedziałem się, że młody ten człowiek: odbył kampanię 59-tego roku przeciw Francuzom i Włochom, a wysłużywszy 5 lat wrócił do Częstochowy i zaraz potem na powstanie. Był to jeden z najdzielniejszych żołnierzy, jakich spotkałem — śmiały, bitny, znał doskonale sztukę wojenną.

W obozie, do którego nas wcielono, ani 40-tu nie było żołnierzy, a i ci jak zwykle bez broni, bez szyku wojennego, bez dowództwa — bez posterunków. Zaczęliśmy więc omawiać posterunki, co było



najważniejszym dla obozu. Poszedłem do gromadki chłopaków przybyłych z Poznania — trudno nazwać żołnierzami 16-to letnich czeladników, uczni gimnazjalnych itp. — wzywając ochotników na widetę. Zgłosiło się kilku, jeden podał mi starą pojedynkę nie nabitą — kula karabinu rosyjskiego stosowała się — usypałem prochu z naboju, nabiłem flintę i garstkę ochotników powiodłem na wzgórze, z którego widok roztaczał się na kilka wiorst. Postawiłem trzech z nabitą przezemnie flintą i zacząłem pouczać, jak się z nią obchodzić, lecz oni czuli się obrażonymi o to. Wróciwszy do obozu zaproponowałem Różnieskiemu wprowadzenie koni do stajni i rozsiedlanie ich na chwilkę, chcieliśmy bowiem nęcać być na ezatach. Nie domówiłem do końca, gdy wtem padł strzał na owej na przedce zorganizowanej widecie — dosiadamy więc koni i pędzimy tam. Na ziemi leży jeden z pozostawionej przezemnie trójki, a strumień krwi dobywający się ze świeżej rany i nieruchoma postać leżącego, mówiły dowodnie, że zaszedł tu przykry wypadek. Dowiedzieliśmy się w końcu, że jeden z nich odwiódłszy kurek nie umiał go spuścić, a dwaj towarzysze w chęci niesienia mu pomocy, obstąpili go i zaczęli próby. W tem któryś dotknął cyngla, strzał padł i ranił śmiertelnie towarzysza. Biedna ofiara nieostrożności i nieświadomości wyzionęła ducha nad ranem. Chwilę przed śmiercią dawał koledze zlecenie powiadomienia matki o smutnem tem zajściu, a towarzyszom przebaczył mówiąc, że przecież to tylko przypadek, on temu nie winien. Takim był dzień pierwszy przybycia do oddziału.

Nazajutrz garstka nasza wzrosła — pomaszerowaliśmy do oddziału Mieleckiego. Wisły już potem nie widziałem nigdy, Waryłkiewicz zaś przedstawił mnie Mieleckiemu jako wyćwiczonego żołnierza, co było zbyt czynnem, bo znaliśmy się od ław szkolnych a nawet kilka tygodni przed powstaniem spotkaliśmy się koło Brześcia kujawskiego i omawialiśmy rozmaite plany. Mielecki oddał mi pluton jazdy;



w kilka dni zmieniliśmy obóz zajmawszy miejsce pod młynem Olszakiem.

Na drugi dzień tj. 22 marca po 24-ro godzinnej służbie — około 3-ciej rano ruszył się obóz nieprzyjacielski — ćma ogromna. Sam wódz Mielecki przyjechał do mnie i kazał ruszyć w awangardę. Wyjechałem naprzód we trzech, pomiędzy nami Opitz, żołnierz z 31 roku i pruski huzar, którego Różnieski, dla wielkiej gadatliwości, przewał landratem i nazwa ta pozostała mu, nikt o właściwe nie pytał nazwisko. Ujechaliśmy ze 100 kroków od młyna, gdy naraz slysze komendę rosyjską, wydawaną po cichu i odwodzenie kurków, a nie widać nie dla ogromnej ćmy. Strzeliłem z pistoletu w stronę onej komendy, lecz niestety oświetliłem tym sposobem owego landrata. Rosyanie dali salwę w to światło i on biedak, ugodzony kilkunastu kulami naraz, padł. Różnieskiemu kula przeszła łydkę i dosięgnęła konia, który go wyniósł z powrotem za most — ja wróciłem nietknięty. O godzinie 4-tej wszczęła się bitwa — początkowo tylko ognie widać było można i w nie celując, odpowiadała nasza piechota. Bitwa trwała do 8-mej, zmusiliśmy nieprzyjaciela do odwrotu, lecz ile ofiar zabrało to zwycięstwo! Wszyscy oficerowie nasi ranni, a nawet wódz Mielecki został ugodzony w kość pacierzową, kilka kroków odemnie. Ostatni wyszedłem z pobojowiska, zabierając rannych i broń rozrzuconą.

Udaliśmy się teraz ku Slesinowi, gdzie napotkaliśmy świeży oddział nieprzyjacielski — broniliśmy się od 12-tej południa do wieczora, lecz brak amunicyi i dowódców zmusił nas do rozsypki. Część z nas wróciła do Księstwa, drudzy do domów, a między nimi i ja także. Tego samego dnia przejechałem przez Slesin potykając się osobiście dwa razy z trzema kozakami. Dzielny mój karosz piersią poprzewracał i porozbijał małe kozackie koniki — zasłynał karosz mój, i tak go już znano w obozie nieprzyjacielskim, że zdala wołali z przestachem „czort na wronym koniu jedzie!“ Drugiego dnia



stanąłem w Osieczu Wielkim. Niepamiętam, zdaje mi się, że w dwa dni potem — zbierał Seyfried obóz w Cieplinach, pojechałem tam, ztąd potem na Orlą. Liczba zebranych wynosiła już parę set. Nikogo nie pytano tu o nazwisko — stanąłem w szeregu. Kawaleryą dowodził Władysław D. z pod Kłodawy, nie znał komendy i reguł wojskowych, chociaż poznałem w nim później dzielnego żołnierza. Mamy udać się na mszę św. obozową i złożyć przysięgę. Stoję na prawem skrzydle. naraz obija mi się o uszy głos komendanta naszego „obróćcie się tak jak ja i pójďte za mną“. Podpowiadam mu słowa właściwej komendy — dostajemy się wreszcie na oznaczone miejsce przed ołtarz obozowy. Rzewna to była chwila! wzruszenie oładnęło wszystkich. Po tej ceremonii nastąpiło rozdawanie broni, szykowanie oddziałów, obieranie oficerów. Nam, kawaleryi podano lance; ale mój Boże cóż to za broń była! otóż drażki osicowe, oskrobane z kory, tak jak urosły, trochę krzywe nie gładkie, na jednym końcu w ostrze okute. Rozdawał je sam dowódzca Seyfried. Gdy kolej na mnie przyszła zwróciłem mu lancę dodając, że zdaniem mojem to nie broń lecz ciężar dla żołnierza. Oburzył się bardzo (był trochę szorstkim dla tego nie miał sympatyj był wychowawcą szkoły w Genui). Z zupełnym spokojem z postawą wojskową wysłuchałem reprimendy, a potem poprosiłem, żeby mi który z tych panów pokazał jak tą lancą władać. Ktoś z otoczenia Seyfrieda podjął się tego, ale zaraz po pierwszym wzięciu lancy poznałem, że człowiek ten nie umie nią władać. Uśmiechnąłem się, rzekłem „panie tak nikt lancą nie robi“, a wzięwszy broń z rąk jego zrobiłem kilka obrotów — Seyfried doskoczył do mnie i zawołał: „wszakże umiesz!“ Dla tego że jestem ułanem, zrobiłem uwagę, wiem że lanca taka jest ciężarem dla żołnierza i pokazałem dłoń, w której utknęło kilka wiorków. „Jak się nazywasz!“ pyta Seyfried lecz skoro usłyszał nazwisko zmienił ostry ton a nawet przeproszał i dodał „a przecież szukają pana



po całej okolicy“ poczem rękę mi podał i raz jeszcze prosił, bym się na niego nie gniewał. Oddał mi następnie kawaleryą pod pułkownikiem Słupskim i zamianował rotmistrzem.

Nie kwapiłem się weale o awans, poznałem już trudne zadanie kierować żołnierzem nie znającym subordynacyi i nie mającym pojęcia o mustrze. Odtąd na koniu spałem, jadłem, wogóle nie wiedziałem czasem, jaki mamy dzień w tygodniu. Wysyłano mnie kilka razy po broń nad granicę i zawsze szczęśliwie wracałem z upragnioną zdobyczą. Cały oddział udał się do Lubstowa dla dopełnienia uzbrojenia; wielu bowiem posiadało tylko kije jako broń — w Lubstowie zastaliśmy też rzeczywiście kilka pak karabinów.

Około 26 kwietnia wideta moja dała znać o zbliżającym się nieprzyjacielu; wyruszyłem z kawaleryą moją ku Słomkowu, i przez dwie godziny wstrzymałem dwa szwadrony huzarów, sotnię kozaków i dwie roty piechoty z dwiema armatami. Rozstawiłem moich czterdziestu w tyraljerkę, zajmując tak szeroką linię, jak Rosyanie. Tu Różnieski pokazał, jak dzielnym był żołnierzem, również niejakiś Waldow.

Nieprzyjaciela strasznie zaintrygowało, że garstka nasza stoi tak uparcie, a ponieważ za nami był bór, byli pewni, że w nim ukryta piechota nasza i armaty skierowali na ten próżny bór. — Dopiero miarkując, że broń może być rozdana, cofnąłem się do Lubstowa, lecz nie zastałem tu nikogo. Seyfried zebrał się z obozem do lubstowskiego lasu, dokąd i ja się udałem, wstrzymując przeciwnika rozmaitemi fortelami. Tu zastałem tylko nad brzegiem lasu mały oddziałek piechoty naszej odstrzeliwający nieprzyjacielowi. Z chwilą przybycia mego zaczęła się ta garstka cofać, nie wiedząc dokąd się udać. Później dowiedziałem się, że to był manewr Seyfrieda; aby ocalić obóz, zostawił nas i ten mały oddziałek piechoty na stracony posterunek. Zwolna i ja pospieszyłem za tą garstką — było ich może



z dwudziestu, a moich ubyło kilku rannych, między nimi i dzielny mój Różnieski. Skoro dojechałem do piechoty, wystąpił z szeregu młodzieniec — zdaje mi się, że był nim obywatel z Osówia — z prośbą, abym ich nie opuszczał. Nie potrzebną była ta prośba, bo i bez niej nie byłbym ich tak zostawił. Wziąłem teraz kawaleryą w jeden szereg, jak droga szeroka i zakryłem piechotę; następnie odliczyłem do dwóch i podzieliłem na dwie równe połowy. Piechocie kazałem nabić broń i puściłem gęsiego po obu stronach drogi, przy zbliżających się huzarach. Piechota szła klinem, gdy zbliżyli się na strzał, kawalerya na prawo i na lewo otworzyła drogę. Zakomenderowałem piechocie „pierwszy szereg — ognia!“ „Nabijać broń!“ Huzarzy zaczęli się trochę mięszać, a kiedy krzyknąłem „drugi szereg — ognia!“ nie czekając, dali drapaka. Posłałem jednego z moich naprzód, aby zarekwirował podwoły pod piechotę z sąsiedniej kolonii za borem. Podwoły dostał z łatwością — piechota wsiadła i pojechała, nie czekając za nami.

Było to po Wielkanocy, bo ochrypnięty od komendy — trębaczka nie miałem, co zresztą często się zdarzało — raczyłem się smaczną kawą z plackami wielkanocnymi na popasie koni za borem lubstowskim.

Seyfried z oddziałem wyszedł cało i powiódł go w bezpieczne miejsce koło Przedeza, gdzie i ja podążyłem. Wiedziano tu już o naszym szczęśliwym odrocie — w uznaniu waleczności towarzysze moi dostali srebrne naszyjniki R. p. P. — ja miałem dostać wyszywany złotem.

Po rozmaitych zmianach w obozie i zasileniu oddziału napływającymi ochotnikami, a zwłaszcza przyłączeniu się oddziału Younga, świeżo przybyłego z Księstwa, Seyfried podzielił nas na dwie części pod główną komendą swoją. W dniu 26 kwietnia stoczyliśmy bitwę między Słomkowem a Nową Wsią, wypędziwszy nieprzyjaciela do Księstwa ku Inowrocławiu. Drogo okupiono zwycięstwo! Padł kwiat



młodzieży, między nimi i brat mój cioteczny Kaźmierz Tułodziecki z Osiecza, młodzieniec 19-letni, rokujący najpiękniejsze nadzieje — chluba rodziny. Pospieszył do szeregu wprost ze szkoły agronomicznej w Proszkowie, biorąc tylko listownie błogosławieństwo rodziców. W dniu 13 maja umarł, skutkiem rany w piersi — jeden z ostatnich, których złożono u pani Busse w Słomkowie. Wogóle poległo tu 26, a rannych było 67 — większość umarła. Powodem tych wielu strat był pospiech Younga; parł gorączkowo w sam środek nieprzyjaciela, nie licząc się wcale z wiosenną porą, w której to kawalerya, mająca zająć tył nieprzyjacielowi, dla różnych bagien i trzęsawisk z trudem tylko posuwać się mogła, piechota zaś, stojąc na odkrytem polu, ginęła od kul nieprzyjaciela, ukrytego bezpiecznie za gęsto ustawionemi sązńiami. Cała noc na posterunku, następny dzień na podjazdach zeszedł, dwa świeże konie padły podemną. Trzeciego dnia rychło rano poszliśmy pod Brdowo. W dniu 28 kwietnia w wilią bitwy zwołano nas na naradę wojenną. W dowód uznania męstwa postanowiono Youngowi oddać dowództwo nad 3-ma oddziałami. Seyfried nie był lubianym dla onej już wspomnianej szorstkości, której mu ostatecznie nie można wziąć za złe, gdy się rozważy warunki, pod którymi musiał być dowódcą. Przewodził on żołnierzem, nieznaną najmniejszej subordynacyi, młodzieży niedoświadczonej, nie umiejącej nawet władać bronią, nie znającej karności wojskowej, a przecież oczy narodu zwrócone na niego zważały na każdy krok, na każdy zwrot wojenny i umysłem krytycznym nie obejmowano warunków, lecz li tylko działalność samego wodza.

Seyfried zgodził się na dowództwo Younga, który przyjął takowe z warunkiem, że rozkazy jego jak najdokładniej spełniane będą. Wszyscy obecni na naradzie przyrzekli solennie bezwzględne posłuszeństwo. Seyfried zupełnie ustąpił, a Young wydał następujące rozkazy. Jego oddział miał przyjąć



bitwę, oddział Oborskiego stanąć w równej z nim linii, oddział zaś trzeci pod dowództwem Włodka w tyle od oddziału Younga, o pięć wiorst mniej-więcej nad brzegiem lasu. Między obozem Younga, a Włodka był kawał czarnej ziemi, otoczonej lasem z trzech stron, a z czwartej otwarty ku Brdowu graniczył z polami. Young po przyjęciu bitwy miał cofać się do obozu Włodka, aby nieprzyjaciela wprowadzić na to gołe pole, a Oborski zająć mu tył, lecz li tylko za wyraźnym rozkazem Younga. Kawalerya miała zakryć cofającą się piechotę i wogóle cały ten manewr. Z oddziału Oborskiego o 3 rano wyruszyłem więc z kawaleryą moją na przeznaczone stanowisko, gdzie zastałem już gotową kawaleryę Younga. Przy tej polance siedział pod dębem Seyfried i mówił do mnie z radością i zapałem: „Tu Rosyanie znajdują grób swój!“

Seyfried nie żyje, robię tu umyślną wzmiankę o nim, bo posądzano go o zdradę. Niech każdy śmiało temu zaprzeczy — przecież Seyfried tu nie dowodził weale, a oddalił się dopiero po bitwie.

Po parogodzinnem oczekiwaniu padł strzał na posterunku Younga, wódz trzech oddziałów pospieszył tamże zagrzewając ducha. Niestety! pierwszą kulą nieprzyjacielską ugodzony śmiertelnie w czoło, pada, śmiercią swą paraliżując żołnierzy swoich, którzy też bezładnie rejterować zaczęli. Cały plan naraz zniweczony! Tylko oddział Włodka przyjął bitwę, kawalerya nasza zdziesiątkowana przez Rosyan, którzy bez najmniejszego oporu weszli do obozu Younga. Próżno Oborski, nie wiedząc co zaszło, czekał rozkazów, karność wojskowa i dane przyrzeczenie skazały go na bezczynność. Zdaniem mojem i tu znowu krewkość Younga była powodem tej dotkliwej klęski; wodza trzech oddziałów nie było tu trzeba — nie wtajemniczył nikogo w swe plany, nikogo nie przeznaczył na ewentualne zastępstwo. Jakże więc można tu winić Seyfrieda? czyż pozostaje tu jeszcze jakakolwiek wzmianka, któraby rzuciła choć cień tylko na nieskazitelność Seyfrieda?



Po klęsce pod Brdowem zebraliśmy się koło Kłodawy — nie pamiętam miejscowości — a mianowicie oddział Włodka i Oborskiego. Tu dopiero, czy nawet jeszcze później, pożegnał nas Seyfried. Oddział Younga już się nie zebrał, tylko kawalerya sama, którą zabrał pułkownik Callier wyleczony z ran pod Olszakiem. My zaś manewrując, potykaliśmy się pod Szczawinem, Babskiem, Niewieszem, a rozbici między Kaliszem, a Koninem.

W ostatniej potyczce nie byłem bo wysłano mnie w dwadzieścia koni do niszczenia mostów, wogóle robienia przeszkód nieprzyjacielowi. Przy tej sposobności spotkała mnie wielka przyjemność — zapłata trudów, podjętych około wymustrowania żołnierzy moich. Miałem wybrać dwudziestu z nich na ochotnika. a miałem 60-ciu już niezawodnych — mogłem na nich liczyć. Skoro stanąłem przed frontem i zakomenderowałem „dwudziestu na ochotnika! kto z mną?” wystąpili wszyscy! — Wielką było to dla mnie radością — podziękowałem im za położone we mnie zaufanie i odliczyłem 20 od lewego skrzydła, pomiędzy nimi był też Różnieski, z którym, powiedzieć mogę do końca powstania prawie, zawsze byłem razem. Nazwisk wszystkich ochotników nie pamiętam, oprócz Różnieskiego Józefa Łyli Jasiński Zygmunt, dwóch braci Reszków. Waldów, Szule pocztarek z Izbicy — odważny chłopiec — powiesili go w końcu Rosyanie. Gdy się oddaliśmy, pułkownik Słupski, robiąc znak krzyża za nami, rzekł do pozostałych: „Już nie zobaczymy ich, — idą w sam środek, zewsząd otoczeni przez wroga!”

Tymczasem Bóg inaczej rozporządził. Ile razy kończyliśmy zniszczenie jakiego mostu, pokazały się z drugiej strony awangardy nieprzyjaciela; po zamianie kilku strzałów, przystępowaliśmy do dalszego dzieła zniszczenia. Raz przez zerwanie mostu na grobli młyna, wstrzymaliśmy cały szwadron huzarów skierowany przeciw nam. Po skończonej misyi pospieszyłem za naszym oddziałem, o którego



zniesieniu dowiedziałem się na wieczór. W środku pomiędzy wojskami nieprzyjacielskimi noc przepędziliśmy na zaciąganiu wiadomości o stanowiskach nieprzyjaciół i usiłowaniach wydobycia się z matni. Rychło rano wyruszyłem — na błoni spotykam chłopca pasącego źrebaka i pytam o drogę na szosę kalską. Chłopak zaczął dawać niepewne objaśnienia, że tam a tam jadą, ale oni inną, prostą ścieżynką chodzą do karczemki. Obiecuje chłopcu 3 ruble za pokazanie nam tej ścieżynki, ale on niedowierzająco uśmiechnął się i dopiero, kiedy obiecane pieniądze znalazły się w jego ręku, pojął źrebaka wsiadł na niego i ruszył z nami. Pociągnęliśmy gęsiego gęstym lasem świerkowym, z połowy drogi nawróciłem chłopaka, zalecając mu, aby nie wychodził z lasu, bo Rosyanie zabiliby go za to, że nam drogę pokazał. Stanęliśmy nad brzegiem, bliżej owej karczemki i z gąszczu obserwowaliśmy okolicę. Patrząc — pędzi wózek szosą, zatrzymuje go, a oto ksiądz, udając, że do chorego jedzie, aby Rosyanie go nie zatrzymywali, przybywa ostrzedz nas, że nieprzyjaciel wyszedł już na nas i otacza miejscowość, gdzie nocowaliśmy. Lecz oni szli drogą, a my oną ścieżynką i tym sposobem wyslizgnęliśmy się z pułapki. Ksiądz pojechał dalej, bo za nim szła ariergarda. Nie namyślając się długo, odcieśliśmy ariergardę i atakując, pędziliśmy z powrotem ku małachowskiemu młynom. Oddział nieprzyjacielski zdumiony strzałami po za sobą, obstał las, strzelając do niego z armat przez dwie godziny, a następnie, idąc na bagnety, zdobył go — nie zastawszy nikogo! Co się z owym chłopcem na źrebaku stało, nie wiem.

Odetchnęliśmy, a popasłszy konie, chcieliśmy wrócić w Kujawy. Po drodze stanęliśmy w Warcie, kwaterując się w koszarach dawniejszych szaserów polskich. Moich garstka coraz pewniejsza siebie; wszyscy gotowi byli pójść w ogień na każde skinienie. Doskonałym punktem obserwacyjnym była wieża — widzieliśmy w koło co się dzieje nawet w dalekiej przestrzeni. Rozsiodłaliśmy więc konie i re-



perowaliśmy odzież. Mieszkańcy ubiegali się o pierwszeństwo w dostarczaniu nam jedzenia, picia, towarzystwa, doszło nawet do tego, że musiałem zabronić wstępu do stajni ze względu na niebezpieczeństwo alarmu. Sąsiedztwo Sieradza i jego załoga niepokoily mnie.

Po południu odebrałem rozkaz Rządu Narodowego, aby zastosować się do rozkazów Miśkiewicza i zostać w tym oddziale. Towarzyszom moim ogłosiłem rozkaz i udałem się z oddziałem na noc do innej kwatery t. j. do wioski pana B., położonej tuż nad rzeką Wartą. Na drugi dzień zaczęli pojedynczo ściągać jeźdźcy; odbijaliśmy przy nich strasznie! My od samego początku powstania w obozie, obdarci, czarni, na schudzonych koniach, a oni tacy wyświeżeni! To też synowie okolicznych obywateli patrzel na nas przez ramie, lecz postawa nasza wojskowa imponowała im.

Kiedy robiłem przegląd moich, przyszedł rotmistrz Miśkiewicz i pyta o moją nominacją Rządu Narodowego na rotmistrza. Zdziwiony tem pytaniem odpowiedziałem, że godnością tą zaszczycił mnie Rząd Narodowy już trzy razy, ale Miśkiewicz nie zadowolnił się tą odpowiedzią i żądał dowodu. Nie pamiętam, czy nominacyi nie wręczono mi na piśmie, czy też zaginęła wśród różnych przygód, dość, że nie pokazałem jej. Zresztą unikaliśmy noszenia przy sobie wszelkich podobnych dowodów, bo stosownie do rangi wróg wyznaczał nagrody na głowę. Miśkiewicz urażony, dobitnym głosem powiedział, że on tylko jeden jest tu nominowany rotmistrem, innego niezna. Odrzekłem, że z chęcią ustępuję dowództwa nad ludźmi nie znającymi obowiązków wojskowych, zresztą nie przybyłem w celu zyskania awansów, lecz li tylko aby służyć ojczyźnie. Byłoby nawet przyszło do starcia z żołnierzami moimi, którzy głośnym protestem opierali się memu rzeczeniu, lecz zabroniłem im surowo wszelkich oznak niezadowolnienia, a oni wiedząc, że w takich razach nie żartuje — ucichli.



Wieczorem drugiego dnia wróciliśmy znów do koszar Warty — nie podobało mi się to kwaterowanie pod bokiemi nieprzyjaciela, ale dla zachowania harmonii nie oponowałem. W drodze wielkiej łaski, zostawiono mnie oficerem oddziału mego, a zaraz po przyjeździe do koszar, wyznaczono pluton mój na straż. Nie zsiadając z koni pospiesziliśmy zająć stanowiska; rozstawiłem widety tak, że utworzyły one łańcuch na około Warty. O 2 w nocy padł strzał, skoczyliśmy na koń i kiedy byliśmy już w zupełnym szyku, nadjechał jeden z żołnierzy ustawionych na straży, lekko ranny, z doniesieniem, że kawaleria rosyjska ze Sieradza napadła ich. Rotmistrz posłał na zwiady porucznika Miłkowskiego i mnie polecił udać się z nim wraz z memi czterema pozostałymi od służby. Za miastem zaproponował Miłkowski, ażebym swoich posłał naprzód. Był ze mną Lewartowski, Różnieski, Jasiński, Zygmunt i Waldów; rad z propozycyi Miłkowskiego, zakomenderowałem wpół na prawo naprzód galop. Wjechałem na czoło oddziału, a potem kłusem dalej. Miłkowski proponuje galop, ale ja zauważyłem, że kawalerzysta goniąc galopem nie wiele wart, zniszczy konie przed czasem, a gdy przyjdzie nagła potrzeba siły koniowi nie dopiszą. Posuwam się kłusem i wysyłam Różnieskiego naprzód, by nie wpaść niespodzianie w zasadzkę. Miał polecenie kiwnąć pałaszem gdy co spostrzeże, a w razie nagłym strzelić.

Podjeżdżaliśmy pod górę drogą ku Sieradzowi, Różnieski kiwnął pałaszem — baczność, ale jeszcze kłusem, zaraz potem Różnieski strzelił, a my dobiejaliśmy szczytu góry, połowę nas było widać. Różnieski strzelił drugi raz i ubił konia żołnierzowi rosyjskiemu (okazało się, że był to komendant tego oddziału, okrutnik znany z prześladowania obywateli — umiał dobrze po polsku, a podając się za Polaka, podchodził ludzi łatwowiernych; został rozstrzelany jeszcze tego wieczoru, po dowiedzeniu mu winy przez naszych.) Hura! — krzyknąłem — moi za mną — nieprzyjaciele podali tył i wpadli do Sieradza, alarmując załogę, że mnogo lachów jedzie.



Pod samym Sieradzem zatrzymałem się na strzał karabinowy — zasłaniał nas wiatrak. Chciałem, by konie odetchnęły i dopiero teraz spostrzegłem, że oprócz nas pięciu nikogo nie było za nami. Może nie zapędziłbym się tak daleko, gdybym to był zaraz spostrzegł; frapowało mnie tylko, że świeże konie towarzyszy nie zdążają za naszymi zbiedzonymi. Gdyby oni byli poszli razem z nami, byłibyśmy wzięli nieprzyjaciół do niewoli. Wogóle, że uszli, mają do zawdzięczenia mojemu koniowi. Był on czarny, tak jak mój pierwszy, którego po bitwie pod Niewieszem musiałem zostawić u pewnego znajomego, bo dostał silnego zapalenia ocz. Kiedy wróciłem po niego, opowiadano mi, że Rosyanie, przechodząc mimo pasących się źrebaków, mego karosza spostrzegli, odróżnili między innymi i pod groźbą zażądali wydania go. Radość ich z powodu zdobycia tego „czarta“, jak go nazywali, była tak wielką, że całowali jego kopyta.

Chciałem po stracie tego towarzysza wiernego, wyrobić sobie innego, ale ani czasu ku temu nie było, ani też żaden z tych wielu, w czasie 10-cio miesięcznej gonitwy, spotrzebowanych koni, nie byłby dorównał karoszowi memu. Widziałem go po tem raz jeden z dala — generał rosyjski nim kierował. — Wracam do naszego przystanku pod osłoną wiatraka. W kilka minut Rosyanie zatoczyli armaty, piechota w budynkach na brzegu miasta zbroiła otwory do strzelania. Odstąpienie Miłkowskiego oburzyło mnie do tego stopnia, że zacząłem namawiać towarzyszy do zdobycia tych armat, oświadczyli jednogłośnie bez namysłu, że za mną gotowi iść wszędzie. W tem słyszę tentent, patrzę: jedzie ku nam dwóch z naszych, nie pytam kto i po co przybywa, lecz wysuwamy się z pod wiatraka w celu zabrania ich po armaty. Tymczasem oni cugle konia mego chwytają raptownie, patrzę zdumiony, Myszkiewicz i Mazurkiewicz II, przybyli z rozkazem, abyśmy natychmiast wrócili do obozu. „Ja wracać do tych tchórzów!“ krzyknąłem i chciałem się wydrzeć, lecz



oni usta zacięli i milcząc zwrócili konia ku obozowi. Nigdy, nawet w największych będąc opałach, nie straciłem przytomności umysłu, pewności siebie i rozwagi, lecz w tej chwili, krótkiej wprawdzie, ale tak bardzo przykrej i bolesnej dla mnie, poczułem się tak bezsilnym, że milcząc, jak więzień skrepowany, pozwoliłem się prowadzić przed koszary do Warty, pozostałych żołnierzy moich zastałem otoczonych zbrojnie, nie pozwolono im ruszyć się z miejsca pod karą rozstrzelania, bo oni gwałtem wyrwali się za mną. Dano mi nagane przed frontem, która jednak ten skutek wywarła, że wszyscy chcieli należeć do oddziału mego. Przyjechał możny obywatel z Biernatek i pytał, czego nam potrzeba. Powiedziałem szczerze, że wszystkiego, a on przyobiecwał umundurowanie i świeże konie i dotrzymał obietnicy.

Po południu mieliśmy już wszystko, a młodzi koledzy, co przedtem patrzeli na nas przez ramię, teraz stawali frontem. Coraz więcej przybywało ochotników, z których utworzył się oddział czterech szwadronów generała Taczanowskiego, z tych pierwszym ja dowodziłem. Udało mi się wyćwiczyć go jako tako i dobrać konie. Znałem dobrze komendę polską i tem zdobywałem zaufanie żołnierzy. Lepszych zabierano mi jednak na oficerów, na czem traciłem wiele bardzo, a nawet mogę powiedzieć, że cała kawalerya wiele straciła, bo na żaden szwadron nie było można liczyć. Dzieje generała tego oddziału są znane, w każdej potyczce szwadron mój brał główny udział, pod Łędem odznaczył się nawet. Po rozbiciu tego oddziału wróciłem w Kujawy, a z rozkazu Rządu Narodowego, objąłem dowództwo nad oddziałem Sokołowskiego, który do końca listopada udało mi się utrzymać. Ostatnie cztery tygodnie ścigała nas znacznie przewyższająca siła Rosyan; wycieńczeni utarczkami, stopnieliś mydo czterdziestu. Dzielna była ta reszta! w ostatniej nocnej utarczce pod Łaniętami wielu, najlepszych straciłem żołnierzy, tam dzielny Różnieski został ciężko raniony



w piersi; udało nam się jednak zabrać naszych wszystkich z placu boju. Z pozostałymi kolegami byłem zmuszony rozstać się na czas nieograniczony. Uważałem się za niestrudzonego, a jednak doszło do tego, że nawet kilometra drogi nie byłem wstanie przebyć bez wysiłku, chociaż, może też zanadto przywykłem do konia, boć cztery lata służyłem w regularnem wojsku, teraz znowu rok prawie dzień i noc na koniu.

Dnia 22 listopada przeszedłem granicę. W Królestwie nikt mnie przyjąć nie chciał do domu; w nocy, gdzie tylko chciałem konia popaść, każdy się żegnał, jakby przed złym duchem i uciekając, drzwi domu zamykał przedemną. Tak przybyłem wreszcie do Gustorzyna, folwarku należącego wówczas do Wieńca. Tutaj zastałem szczęśliwym trafem drugiego mego konia, którego raz w przejeździe zostawiłem na wypoczynek: kazałem go podkuć i ruszyłem zaraz dalej do granicy, gdzie z wieczorem stanąłem. Patrol kosacki za mną, ruszyłem kłusa, w tem, na błoniu podkowa zawarczała mi nad głową, zły znak, zatrzymuję mego perskiego ogiera i z najzimniejszą krwią schodzę, by podnieść podkową, a tysiąc kroków za mną pogoń. Kozacy widząc jednak, że tak spokojnie podnoszę podkową, jakbym nie miał obawy przed ujęciem, zatrzymali się, popatrzyli i nawrócili. Równy z wieczorem przyjechałem przed dom pani Dąbskiej w Konarach, gdzie zastałem kilku kolegów, a nawet niektórych z mego szwadronu. Przyjęto mnie tu serdecznie bardzo, bo wszyscy mieli mnie za straconego. Na drugi dzień, zostawiwszy konia i uzbrojenie, udałem się wozem przeciw Ludom do Żnina. Gdy przejeżdżałem przez tutejszy kordon wojskowy, żołnierz, chcąc mnie zatrzymać, wyszedł na środek drogi. Było to niedaleko gościńca, gdzie i wojskowych nie brakło, zatrzymuję więc wóz i proszę jednego z podoficerów o kupienie mi cygar i zapalenie zaraz jednego, a skoro mi przyniósł, ja swoje cygaro zapaliłem o jego i rozmawiałem jeszcze chwilę. Posterunkowy, widząc tę na pozór bardzo



przyjacielską rozmowę, cofnął się z drogi i nie stawiał żadnych pytań przy przejeździe; tak więc bez szwanku stanąłem drugiego dnia w Zninie. Rok cały nie pozwoliłem się ująć, choć władze tutejsze ścięły mnie, myślałem być jeszcze potrzebnym. Dopiero w jesieni 64 roku zgłosiłem się sam udając że nie wiem, iż mam być aresztowanym i dla czego. Odprowadzono mnie do Szubina. skąd po parotygodniowym śledztwie i ułaskawieniem królewskim, puszczono mnie na wolność. Broń moją, pałasz i rewolwer, mam jeszcze, również kulbakę, na której całe powstanie jeździłem.









BIBLIOTEKA KÓRNICKA

224682

DO KORZYSTANIA W CZYTELNI